

Piękna książka. O pamięci i rodzinie.
Czyli o sprawach najważniejszych.

MICHAŁ NOGAŚ

PROGRAM 3 POLSKIEGO RADIA



Stefan Hertmans

Wojna i terpentyna



Pierwsze wspomnienie dziadka mam z plaży w Ostendzie – sześćdziesięciosześcioletni mężczyzna, przykładownie w granatowym garniturze, niebieską łopatką swojego wnuka wykopał płytki dołek, którego usypany brzeg spłaszczył, by w miarę wygodnie mogli w nim z żoną usiąść. Niewysoki nasyp z tyłu nieco podwyższył, żeby ich osłaniał przed sierpniową bryzą lądową nawiewającą na cofającą się linię fal pod wysokimi smugami mgły. Zdjęli buty i skarpety i delikatnie poruszają palcami u nóg, rozkoszują się chłodem głębiej położonego, wilgotnego piasku – mnie jako sześciolatkowi zachowanie tych dwojga, wiecznie ubranych w czerń, szarości lub granat, wydaje się niezwykle frywolne. Pomimo ciepła i plaży dziadek ma na niemal лыsej głowie swoje czarne borsalino, jest ubrany w nieskazitelnie białą koszulę i jak zawsze nosi czarną kokardę, dużą, większą niż kokardy zwykle bywają, która poza tym ma dwa zwisające końce, co z daleka wygląda, jakby przywiązał sobie do szyi sylwetkę czarnego anioła rozpościerającego skrzydła. Moja matka szyła te osobliwe

kokardy zgodnie ze wskazówkami dziadka. Przez całe jego długie życie nie widziałem go inaczej niż z taką czarną kokardą z końcami jak poły fraka; musiał ich mieć dziesiątki, jedna z nich leży tu gdzieś między moimi książkami, relikwiot odległej, utraconej epoki.

Po półgodzinie siedzenia na piasku zdjął jednak marynarkę, potem rozpiął złote spinki do mankietów i schował je do lewej kieszeni, następnie nawet podwinął rękawy koszuli, a raczej dwa razy je założył, dokładnie pod łokieć, każde zagięcie na szerokość wykrochmalonego mankietu, i teraz siedzi ze starannie złożoną marynarką udrapowaną na lewym ramieniu – jedwabna podszewka lśni w popołudniowym świetle – jakby pozował do impresjonistycznego portretu. Jego wzrok zdaje się zatracać w odległym tłumie ludzi, w połykaczu zyletek, w ochlapujących się dzieciach, nawołujących i śmiejących się wycieczkowiczach, którzy trzymają się jedni drugich, jakby znowu byli dziećmi. To, co widzi, jest niczym ruchomy obraz Jamesa Ensora, chociaż nie znosi dzieł tego bluźnierczego ostendczyka o angielskim nazwisku. Ensor jest „bazgrolem”, a „bazgrol” stanowi obok „kaszmendy” i „gawiedźstwa” najgorsze słowo przygany, jakiego może wobec kogoś użyć. To są bazgrole, ci współcześni malarze: nie mają już żadnego pojęcia o *fijnschilderen*^{*}, o wszystkich subtelnych aspektach dawnego, szlachtetnego stylu malarskiego. Coś tam robią bez ładu i składu, przestali respektować zasady anatomii,

* Styl malarski charakteryzujący się bardzo dokładnym oddawaniem nawet najdrobniejszych szczegółów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).



nawet nie wiedzą, jak się kładzie laserunek, nie mieszają już sami farb, używają terpentyny, jakby to była woda, nie mają pojęcia o własnoręcznym tłuczeniu pigmentu, o delikatnym oleju lnianym czy stosowaniu sykatywy – nic dziwnego, że nie ma już wielkich malarzy.

Wiatr nieco się ochładza, dziadek z powrotem wyjmując z kieszeni marynarki spinki do mankietów, odwija rękawy, starannie zapina koszulę, wkłada marynarkę i troskliwie pomaga żonie ułożyć na ramionach oraz lśniącem koku jej ciemnosiwych włosów czarną koronkową mantylkę.
– Chodź, Gabrielle – mówi.

Oboje wstają, biorą do ręki buty, rozpoczynają trochę mozolną wspinaczkę ku promenadzie, on ze spodniami jeszcze podwiniętymi na jakieś piętnaście centymetrów, ona z czarnymi pończochami upchniętymi w buty, tak że widzę cztery białe łydki pod ciemnymi torsami wolno

i równomiernie poruszające się nad piaskiem. Dziadkowie idą w kierunku kamiennych schodów, którymi mogą się dostać na wał. Tam usiądą na najbliższej ławeczce, będą długo otrzepywać i czyścić nogi, wkładać czarne skarpety na alabastrowe stopy, zawiązywać buty tym, co w tamtych czasach nazywało się jeszcze *rijgkoordin* – „troczkami do sznurowania”, a nie „sznurowadłami”.

Ja sam, po tym jak zawalił się mój system korytarzy z dużymi kamiennymi kulkami – moimi ulubionymi *bonketten* – trzęsąc się, pobiegłem do matki.

– Morze znów wraca – mówi, rozcierając mnie, żebym się zagrzał, a nad wydmami za nami pojawiają się pierwsze kłębiaste chmury.

Wiatr czochra głowy wydm; jakby swoimi podmuchami mierzwił wydmom włosy, a te duże zwierzęta w kolorze piasku zapierały się przed nadchodzącym wieczorem.

Dziadek ma już w ręce swoją lśniącą, pokrytą pokostem laskę z wiązowego drewna; odrobinę niecierpliwie czeka, aż wszyscy dotrzemy na promenadę. Potem idzie przodem; nie jest wysoki, metr sześćdziesiąt osiem, jak często sam mówi, lecz tam, gdzie się pojawia, ludzie się rozstępują. Głowa prosto, lśniące nienaganną czernią wysokie buty, spodnie w ostry kant, milcząca żona u ramienia, a w drugiej ręce laska – tak, w pewnym sensie zniecierpliwiony, idzie przed nami, odwracając się od czasu do czasu i wołając, że się spóźnimy na pociąg, jeśli będziemy się tak guzdrali. Chodzi jak wojskowy w stanie spoczynku, to znaczy, nie tłuąc ociążale piętami, lecz zawsze najpierw opadając na poduszkę stopy, bo tak należy,

od ponad pół wieku. Potem w jakiś sposób znika z moich wspomnień, a ja, ogarnięty nagłym przypływem jasności tej sceny z dawnej przeszłości, czuję się tak zmęczony, że mógłbym z miejsca zapaść w sen.

*

Moim następnym wspomnieniem z nim związanym, bez żadnego przejścia, jest obraz cicho płaczącego mężczyzny – siedzi przy małym stoliku, przy którym malował i pisał, ubrany w swój szary chałat, w czarnym kapeluszu na głowie. Żółte światło poranka wpada przez małe, obrosnięte winoroślą okno. W ręce trzyma jedną z wielu reprodukcji, które regularnie wyrywał z książek o sztuce, by wykorzystać podczas sporządzania kopii (przymocowywał reprodukcję do deseczki, którą dwoma drewnianymi klamerkami przypinał do palety malarskiej); trzyma ilustrację w rękach, nie mogę dostrzec, co na niej jest, ale widzę, że po policzkach spływają mu łzy i że w ciszy coś szepcze. Wbiegłem po trzech schodkach do jego niewielkiej pracowni, żeby mu powiedzieć, że wykopałem szkielet szczura; teraz szybko i po cichu się wycofuję, moje kroki tłumi dywan na stopniach, z powrotem zamykam drzwi jego pokoju, lecz później, kiedy pije na dole kawę, zakradam się na górę i na stoliku znajduję ilustrację: to obraz nagiej kobiety, odwróconej plecami do widza, szczupłej kobiety z ciemnymi włosami. Leży na jakiejś sofie albo łóżku przed czerwoną kotarą, jej spokojnie zadumaną twarz widać w lustrze, które trzyma przed nią kupidyn z niebieską wstążką na ramieniu; jej nagie plecy i krągłe

pośladki są wyeksponowane. Mój wzrok przesuwają się na kruche ramiona, włosy delikatnie kręcące się na szyi, to znów na niemal obscenicznie zwróconą w stronę patrzącego pupę; przestraszony odkładam obrazek, schodzę na dół, dziadek jest w kuchni. Stoi przy mamie i śpiewa jej po francusku piosenkę, którą pamięta z czasów wojny.

*

Lata mojego dzieciństwa zarosły jego opowieściami o pierwszej wojnie światowej, ciągle tylko ta wojna: niejasne czyny bohaterskie na błotnistych równinach w deszczu bomb, wśród turkoczających wystrzałów z karabinów, zjaw krzyczących w ciemności, wyrzaskiwanych po francusku rozkazów, to wszystko przedstawiane z dużym wyczuciem efektu z jego bujanego fotela – drut kolczasty był wszechobecny, przy naszych uszach latały szrapnele, stukały pistolety maszynowe, race kreśliły wysoki łuk na ciemnym firmamencie, odpalano moździerze i haubice, tysiąc bomb i granatów, podczas gdy sączące herbatę ciotki potakiwały z zachwytem, a ja sam nie zapamiętałem wiele ponad to, że dziadek musiał być bohaterem w czasach dla mnie równie odległych jak średniowiecze, o którym uczyłem się w szkole. No cóż, bohaterem i tak już był, dawał mi lekcje szermierki, ostrzył mój scyzoryk, nauczył, jak rysować chmury przez delikatne wycieranie gumką kształtów, które najpierw naniosło się kawałkiem spalonego drewna z kominka, albo jak oddać niezliczone liście na drzewie, w rzeczywistości ich wszystkich nie rysując – prawdziwa tajemnica sztuki, jak mówił.

Opowieści były po to, żeby je zapominać, bo przecież wciąż powracały, nawet najdziwniejsze historie o sztuce i artystach. To, że stary Beethoven z taką obsesją pracował nad dziewiątą symfonią, ponieważ był głuchy, już wiedziałem, lecz pewnego dnia doszła do tego zatrważająca informacja, że nawet nie zadawał sobie trudu, żeby w trakcie pracy stosownie udać się do toalety, tylko po prostu „załatwiał swoją potrzebę obok fortepianu”, przez co – cytuję – „piękną pieśń o tym, że wszyscy ludzie stają się braćmi, komponował przy stercie kup”. Wyobrażałem więc sobie wielkiego głuchego jak pień kompozytora w wiedeńskim wnętrzu ze złocistymi kapitelami, w bujnej peruce, pończochach i kaloszach, obok metrowej wysokości stosu odchodów w kształcie piramidy. I za każdym razem, gdy rozbrzmiewało przepiękne adagio z *Pastoralnej* podczas jednego z nudnych, długich niedzielnych popołudni, kiedy rodzice i dziadkowie, kiwając głowami w takt radia, siedzieli na brązowej sofie ozdobionej kwiatowymi motywami, widziałem górę łajna obok lśniąco polakierowanego szpinetu; kukułka z Lasu Wiedeńskiego kukała między instrumentami dętymi i skrzypcami, a dziadek miał mocno zamknięte oczy: szacunek dla romantycznego geniuszu, w który święcie wierzył, nie pozwalał mu w takich momentach patrzeć na powszedniość domowników. Dopiero wiele lat później uświadomiłem sobie, że on sam przez blisko półtora roku rzeczywiście żył obok sterty odchodów – w nędznych okopach, w których gdy tylko wysunęło się głowę ponad krawędź, by swoją potrzebę załatwić gdzie indziej, za karę dostawało się kulę w łeb.

To, o czym chciał zapomnieć, wracało więc w strzępach opowieści, w absurdalnych detalach i bez względu na to, czy owe strzępy i detale dotyczyły piekła, czy nieba, musiałem się niezłe nagłowić, żeby coś zrozumieć z tego, co się w nim przez całe życie rozgrywało: tej walki między pragnieniem wzniosłości a trzymającym go w uścisku wspomnieniem śmierci i zagłady.

*

W domu dziadek stale nosił tak zwane chałaciki, zawsze te same białe lub jasnoszare krótkie fartuchy robocze długości staroświeckich szlafroków, zakładane na białą koszulę z kokardą. Mimo że mama i jej mama prały je i gotowały, te bawełniane stare chałaciki, które nosił z niejakim wdziękiem, zawsze były pełne kolorowych plam: rozmazane smugi farby olejnej we wszystkich kolorach tęczy, odciski palców wzdłuż i wszerz, kompozycja niedbałych, intrygujących pręg, kapryśne graffiti jako pozostałości prawdziwej pracy.

Prawdziwą pracą, którą po przejściu na wcześniejszą emeryturę z powodu inwalidztwa wojennego mógł spokojnie wykonywać od czterdziestego piątego roku życia, było malowanie dla przyjemności. Niewielka pracownia, w której dzień w dzień stał przy małym oknie, pachniała olejem lnianym, terpentyną, płótnem, farbą olejną. Tak, nawet zapach dużych, przycinanych nożem na wymiar kawałków gumki do wycierania był wyczuwalny w niepowtarzalnej mieszaninie tworzącej ten klimat, w blasku nieskończonych cichych godzin, które spędzał na

gorliwym i bezowocnym naśladowaniu mistrzów. Był wirtuozowskim kopistą, który posiadał wszelkie tajniki dawnych materiałów i preparatów, używanych przez malarzy od czasów renesansu. Po wojnie chodził w swoim rodzinnym mieście na wieczorowe lekcje rysunku i malarstwa, mimo że odradzał mu to jego świętej pamięci ojciec, malarz fresków w kościołach i kaplicach. Chociaż w tamtych czasach musiał także wykonywać ciężką pracę fizyczną, nie poddawał się i w chwili, gdy mniej więcej miał już za sobą normalny wiek pozwalający na zawarcie małżeństwa, posiadał „świadectwo wykształcenia w zakresie *fijnschilderen* i rysunku zgodnie z anatomią”.

Ze swojego okna widział zakręt dolnej Skaldy, łąki z powolnymi krowami, głęboko zanurzone barki przepływające co rano z warkotem i płytko zanurzone, szybciej przemykające puste statki, które pod wieczór opuszczały miasto. Niezliczoną ilość razy malował ten widok, za każdym razem w innym świetle i odcieniach, o innej porze dnia, innej porze roku, w innym nastroju. Każdy listek czerwonej winorośli malował z natury – widocznie sztuka chce jednak czasem wyjątków od swojej nadrzędnej zasady iluzji – i dzięki temu, kiedy kopiował jakiś detal Tycjana czy Rubensa, był wytrenowany w cierpliwości, celnym szkicowaniu węglem czy grafitem, w tajnikach mieszania kolorów, rozcieńczaniu pigmentów, odpowiednio długim odczekiwaniu po nałożeniu pierwszej warstwy, żeby na nią nanieść kolejną, która ma wywoływać wrażenie głębi i przejrzystości – drugiej z wielu prawdziwych tajemnic sztuki.

Jego wielką pasją były korony drzew, chmury i udrapowane materiały. Dawał się ponieść tym bezkształtnym kształtom, odpływał w marzeniach do krainy światła i ciemności, chmur zastygłych w farbie olejnej, *chiaroscuro*, do świata, w którym ludzie mu się nie narzucali, bo było coś – trudno dociec co takiego – co się w nim załamało. Płochliwość stale mieszała się w nim z serdecznością, jakby nieustannie miał obawy, że ktoś podejdzie zbyt blisko, dlatego że on sam był zbyt uprzejmy. Jednocześnie przepełniała go swego rodzaju wyższa, szlachetniejsza forma przyjaznej prostoduszności, naiwności, która stanowiła podstawę jego pogodnego nastroju. Jego małżeństwo z Gabrielle było niezmaczone dla tych, którzy patrzyli na nie z boku. Zrosnięci ze sobą jak dwa stare drzewa, które przez dziesiątki lat przedzierały się nawzajem przez swoje korony w walce o skąpe światło, wiedli proste życie, przerywane jedynie nieskrępowaną wesołością córki, ich jedyne dziecko. Dni znikwały w fałdach rozproszonego czasu. On malował.

Służąca za atelier pracownia – trzy schodki do góry z niewielkiego korytarza – stanowiła zarazem ich sypialnię; to nieprawdopodobne, jak oczywiste było kiedyś dla ludzi życie w małej przestrzeni. Pod ścianą, za jego stołkiem do pracy stało łóżko, więc żona we śnie mogła się opierać o ścianę, bo w tym, było nie było, wąskim łóżku spała daleko od niego. Fałdy i chmury; korony drzew i woda. W najlepszych z jego zdecydowanie tradycyjnych prac pojawiały się za każdym razem bezkształtne plamy,

dziwne abstrakcyjne masy, które sam uważał za wierność przyrodzie, za malowanie według modelu, który Bóg stawiał mu przed oczami, a za którym on w swojej codziennej pracy pokornego kopisty musiał podążać z nad wyraz rzetelną cierpliwością. Zarazem stanowiły jednak myto, które wiernie płacił jako formę żałoby po przedwczesnej utracie ojca, pokornego malarza kościelnego Franciscusa.

*

Ponad trzydzieści lat przechowywałem i trzymałem w zamknięciu zeszyty, w których starannie, niezrównanym przedwojennym pismem zanotował swoje wspomnienia; dał mi je kilka miesięcy przed śmiercią, w 1981 roku. Miał wtedy dziewięćdziesiąt lat. Urodził się w 1891 roku, jego życie nie wydawało się niczym więcej, jak przeskoczeniem przez siebie dwóch cyfr w roczniku. Między tymi dwiema datami miały miejsce dwie wojny, tragiczne masowe rzezie, najbardziej bezwzględny wiek w całej historii ludzkości, powstanie i upadek nowoczesnej sztuki, światowa ekspansja przemysłu motoryzacyjnego, zimna wojna, rozwój i upadek wielkich ideologii, wynalezienie bakelitu, popularyzacja telefonu i saksofonu, industrializacja, przemysł filmowy, plastik, jazz, przemysł lotniczy, lądowanie na Księżycu, wyginięcie niezliczonych gatunków zwierząt, pierwsze duże katastrofy ekologiczne, wynalezienie penicyliny i innych antybiotyków, maj 1968, pierwszy raport Klubu Rzymskiego, muzyka pop, wynalezienie pigułki antykoncepcyjnej, emancypacja kobiet, pojawienie się telewizji, pierwszych komputerów – i całe

jego długie życie jako zapomnianego bohatera wojennego. Powierzając mi te zeszyty, prosił o opisanie tego życia. Życia, które obejmuje niemal cały wiek i które zaczęło się na innej planecie. Na planecie wsi, polnych dróg, powozów konnych, latarni gazowych, balii, świętych obrazków, starych szaf wnękowych. W czasach, w których czterdziestoletnie kobiety były kobietami w podeszłym wieku, w epoce wszechmocnych proboszczów pachnących cygarami i brudną bielizną, krnąbrnych dziewcząt z dobrych domów w żeńskich klasztorach, wyższych seminariów duchownych, zarządzeń biskupów i cesarzy; epoce, która rozpoczęła swoją długą śmiertelną walkę, kiedy w 1914 roku mały, niechlujny Serb Gawriło Princip niezbyt nawet celnym strzałem rozbił w drobny mak piękną iluzję starej Europy, dając tym samym powód do katastrofy, która miała dotknąć również mojego małego niebieskookiego dziadka, i na dobre zawładnąć jego życiem.

*

Postanowiłem, że przeczytam jego wspomnienia dopiero wtedy, gdy będę miał na to odpowiednio dużo czasu. Wychodziłem z założenia, że ich lektura mnie przepełni i od razu zechcę napisać historię jego życia, innymi słowy – że muszę być wolny, nie mieć innych zobowiązań, by móc się zająć tylko tym. Lata jednak mijały i zbliżały się dni, kiedy ze względu na nieuchronną rocznicę stulecia fatalnego roku 1914 miała się pojawić lawina książek, która do chaotycznego prawie stosu istniejącego już materiału historycznego doda jeszcze tamę publikacji,

książek równie niezliczonych jak worki z piaskiem na równinie Izery, gorliwie udokumentowanych, historycznych, zmyślonych powieści i opowiadań, podczas gdy ja, ciesząc się przywilejem jego wspomnień, bojaźliwie trzymałem je w zamknięciu, nie śmiałem otworzyć nawet pierwszej strony, wiedząc, że będzie to moje rozliczenie z fragmentem własnego dzieciństwa, opowieść, która jeśli się nie pospieszę, pojawi się w chwili, gdy czytelnik, ziewając, odwróci się od kolejnej książki o tej przeklętej Wielkiej Wojnie. Trzymałem zeszyty w zamknięciu, choć wiedziałem, że ponieważ chodzi o wyjątkowo dobrze udokumentowaną relację, ich miejsce jest w archiwum pierwszej wojny światowej – innymi słowy, że swoją skandaliczną indolencją zatajam w dodatku wyraziste świadectwo z pierwszej ręki, które powinno stanowić własność publiczną. Ponadto ogarnął mnie strach przed porażką, który mnie jeszcze bardziej blokował. A kiedy przywołałem w pamięci kilka jego opowieści, tak jak je kiedyś słyszałem, i zacząłem rozumieć prawdziwy przebieg oraz kulisy wydarzeń, ogarnęło mnie poczucie winy i bezsilności. Ponownie zmarnowałem cenne lata, pilnie zajmując się mnóstwem innych spraw, omijałem zeszyty szerokim łukiem, tych cierpliwie milczących świadków, w których jego staranne, zgrabne, przedwojenne pismo było przechowywane niczym w skromnej szkatułce.

*

W tych latach odwiekania i tłumionego poczucia winy wyszło jednak na jaw coś, co zdawało się tę kwestię czynić

jeszcze bardziej nagłącą. Wujek, który przyszedł pomóc mojemu ojcu wymienić kilka zbutwiałych klepek starego parkietu w przednim pokoju skromnej willi, zbudowanej w 1930 roku na zlecenie dziadka, znalazł w niskiej piwniczce pod salonem, w najciemniejszym kącie, zakurzony kamień nagrobny. Zawołał mojego ojca, obaj mężczyźni podpełzli na rękach i kolanach do tegoż kamienia, przyświecając sobie latarką.

– Do licha, a więc tu go schował! – Usłyszałem głos ojca.

Zataszczyli ciężki kamień do łuku i wyjęli. Również wtedy nie dotarł do mnie prawdziwy przebieg wydarzeń, dziadek od dziesiątek lat już nie żył i nie rozumiałem, dlaczego ktoś miałby chować kamień nagrobny tak głęboko w piwnicy, najwidoczniej w wielkim przekonaniu, że



nigdy nie ujrzy on światła dziennego. Po kolejnych latach zobaczyłem, że ojciec za pomocą ciężkich metalowych uchwytów zawiesił ten kamień na obrośniętym tymczasem bluszczem murze ogrodu, mniej więcej metr nad ziemią, za starym garażem, w którym dawniej trzymał swoje auto. Wtedy po raz pierwszy z uwagą przeczytałem, co się na nim znajduje:

POKÓJ JEJ DUSZY
CELINA ANDRIES
UR. 9-8-1868
ZM. 20-9-1931
WDOWA PO
FRANCISCUSIE MARTIENIE
ŻONA
HENRIEGO DE PAUWA

*

Leżą przede mną dwa zeszyty. Pierwszy jest mały i gruby, grzbiety stron ma pomalowane na czerwono. Jego okładkę wykonano z jasnoszarego lnu, jakby dostał uszyty na miarę kubraczek z przedwojennego tweedu. Drugi zeszyt jest większy, prawie formatu A4, i ma staroświecką, marmurkowaną kartonową okładkę, trochę jak *faux marbre*, imitacja marmuru, którą dziadek sam tak chętnie nanosił na ściany. W pierwszym zeszycie spisał swoje wspomnienia z naznaczonej biedą młodości w Gandawie przed 1900 rokiem oraz część doświadczeń z pierwszej wojny światowej.

Miał siedemdziesiąt dwa lata, gdy zaczął zapisywać pierwszy zeszyt – widnieje w nim data 20 maja 1963 roku – może po to, żeby jednak móc komuś opowiedzieć, co zdeformowało jego życie, bo domownicy i członkowie rodziny mieli jego historii po dziurki w nosie i zbywali go słowami: „O tym już często mówiłeś”, „Jestem zmęczony, idę spać” albo „Muszę już iść”. Jego żona, Gabrielle, nie żyła już wtedy od pięciu lat; w ten czy inny sposób pisaniem zamknął okres żałoby. W pierwszym zeszycie stanowcze pismo prawie wcale nie ewoluowało; używał zwykle granatowego atramentu, w przyjemny sposób układał opowieści jedną po drugiej, nasycił je bogactwem wspomnień z czasów w szarym mieście prowincjonalnym – jeszcze widzę przed sobą jego pióro Watermana na małej, dziewiętnastowiecznej toaletce, którą pomalował w osobiwe motywy drewna, w nadziei, że dzięki temu stanie się odrobinę podobna do zabytkowego mebla. Pierwotny marmurowy blat prawdopodobnie kiedyś się rozbił; niezręcznie nałożona drewniana deska okazała się nieco za mała. Przez lata pisał przy tej toaletce, choć była za wysoka i niewygodnie się przy niej siedziało. Ten stoliczek, którego prosta szuflada jest pobrudzona farbą olejną, stoi tu za mną, w pokoju, w którym piszę; nadal przechowuję w nim te dwa zeszyty. Drugi, który zaczął zapisywać, ponieważ, jak się okazało, żałował, że tak obszernie się rozpisał o swojej młodości napiętnowanej poniżającym ubóstwem, otwiera oświadczenie, że pierwszemu zeszytowi powierzył za dużo *petite histoire* i że musi wszystko zacząć od nowa, lecz tym razem będą to

wyłącznie wspomnienia wojenne. Poza tym pierwszy zeszyt się zapełnił, gdy dotarł zaledwie do połowy 1916 roku.

Pisze:

Mój dziennik o wojnie 1914–1918 w ponad połowie zapisany jest nudnymi opowieściami o latach dzieciństwa i wiele stron jest nieważnych. Teraz piszę wyłącznie o wojnie, prawdziwie i szczerze, nie jako hołd. Bóg mi dopomóż. Tylko moje przeżycia. Moje okropności.

Streścił więc kilka już opowiedzianych historii, gdzieś niedługo dodał nowe detale, by potem iść dalej do roku 1919. Ten drugi zeszyt zawiera kilka traumatycznych wydarzeń na równinie Izery, szczegóły na temat odniesionych obrażeń, okresu leczenia w Anglii, tak ważnego dla niego odkrycia fresku w Liverpoolu; po 1916 roku – kiedy to po raz drugi został ranny – staje się bardziej zwięzły, ponieważ nie można bez końca powtarzać opisów pełnego brudu życia w okopach, duszenia ręką szczurów, które się nocą piecze nad ogniskiem, przenikliwych krzyków okaleczonych towarzyszy, majstrowania pokrwawionymi rękami w błocie przy zwojach drutu kolczastego, stukotu karabinów maszynowych, turkotania kartaczy, rozbryzgiwania się ziemi i porozrywanych członków ciała. Zatrzymuje się za to na dłużej przy swoim trzecim pobycie w Anglii, mianowicie w Windermere w Krainie Jezior. Na ostatnich stronach drugiego zeszytu, gdy dociera do dramatycznego wydarzenia, które dotknęło go rok po

wojnie, podczas epidemii hiszpańskiej grypy w 1919 roku, pismo się dezintegruje. Wydaje się, że odpuszcza sobie dyscyplinę, ale w tym, co opowiada, pozostaje uderzająco powściągliwy. Linijki biegną teraz ukosem po stronie, falując z lewej do prawej; czasem powraca do starego, regularnego pisma, czasem wszystko zaczyna pływać. Prawdopodobnie był dobrze po osiemdziesiątce, kiedy z trudem gryzmołił ostatnie strony. Pisał wtedy długopisami w różnych kolorach, a jego wzrok znacznie się pogorszył; o ile wiem, przez te dziesięciolecia, kiedy go znałem, nigdy nie sprawił sobie nowych okularów, może już prawie niczego nie widział na kartce, nad którą się mordował. Siedemnaście lat pracy nad, w sumie, sześćdziesiąt stronami odręcznego pisma. Jego pamięć wciąż jeszcze była tak niezawodna i zatrzymała tyle szczegółów, że nie znajduję innego wytłumaczenia niż to, że chodziło o pewną formę traumatycznej niezawodności; w porównaniu z pierwszym zeszytem detale w drugim dowodzą, że bytował coraz głębiej w okopach swoich wspomnień. Przez całe życie nie mógł się uwolnić od szczegółów, od wirującego o zmierzchu liścia tuż przed tym, gdy po raz kolejny spojrzał śmierci w oczy, od widoku martwych towarzyszy, zapachu błota, ciepłego wiatru na ziemi podziurawionej jak sito strzałami w pierwszych dniach wiosny, od strzępów rozerwanego konia w rozstrzelanym szpalerze. Na ostatniej stronie jest plama, jakby jakaś ciecz przesiąkła w tym miejscu; jest dziura, wokół której po jednej stronie widnieje słowo „wieczorami”, a po drugiej – „panika”.

*

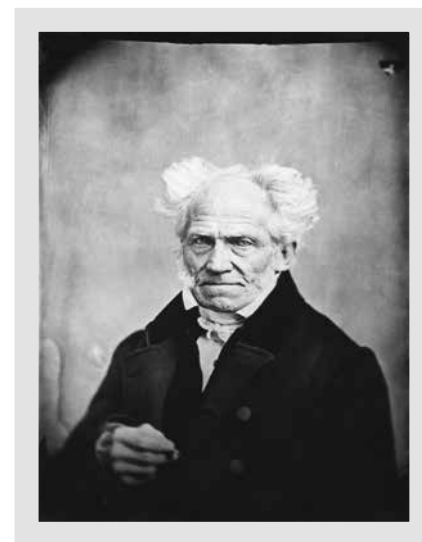
Pozwoliłem lekturze, by we mnie wybrzmiała, a następnie zabrałem się do numerowania stron i notowania wydarzeń, które pokrywały się w pierwszym i drugim zeszycie. Prawie rok zajęło mi przepisanie jego wspomnień, co pozwoliło mi rozeznaczyć się w sposobie, w jaki wydarzenia i przemilczane opowieści zazębiały się ze sobą. To była żmudna praca; z jednej strony nie dorównywałem mu, ponieważ żadną miarą nie mogłem naśladować połączenia staroświeckiego wdzięku z niezręcznością i autentycznością, nie wpadając w manierę, z drugiej – ponieważ przekładając na współczesny język jego zbyt drobiazgowy sposób opowiadania, odnosiłem wrażenie, że go zdradzam. Nawet poprawianie jego często rozczulających błędów w pisowni napawało mnie lekkim poczuciem winy. Stałem w obliczu bolesnej prawdy każdego dzieła literackiego: najpierw musiałem się wyleczyć z autentycznej opowieści, zostawić ją, aby następnie móc ją odnaleźć na swój własny sposób. Czas naglił jednak bardziej niż kiedykolwiek i gdzieś w głowie utkwiała mi myśl, że powinienem skończyć tę pracę przed uroczystościami rocznicowymi Wielkiej Wojny, jego wojny. Moja walka z jego pamięcią.

Niczym urzędnik kancelaryjny przedzierałem się przez setki ręcznie zapisanych stron, przeklinając swój przeciętny styl, który był wynikiem dwuznacznej próby pozostania wiernym dziadkowi i zarazem opowiedzenia jego historii zgodnie z własnymi odczuciami. Następnie sporządziłem skorygowany wydział wydarzeń i kluczowych słów,

wynotowałem miejsca, które powinienem odwiedzić, i dałem do skopiowania zeszyty w obawie przed ich utratą, po czym zdeponowałem je w ogniotrwałej skrytce w banku; rozmawiałem z niewieloma żyjącymi jeszcze ocalałymi, wszyscy mogli mi przekazać jedynie parę wymienianych z wahaniami detali. Mojego ojca, a jego zięcia, który teraz jako jedyny pozostał w domu nad brzegiem rzeki, poprosiłem z kolei o spisanie wszystkiego, co sobie przypomina. Na tyle trzeźwo i skutecznie, na ile pozwalało mu jego dziewięćdziesiąt lat, pomógł mi posklejać ze sobą fragmenty, apokryficzne wersje, które dziadek przez dziesięciolecia żwawo rozpowiadał na prawo i lewo, i sprawdzić je z wersjami w zeszytach oraz w pewnym sensie nauczyć się postrzegać wszystko we właściwych proporcjach.

*

Kiedy patrzę na starą toaletkę stojącą tu za mną, widzę niską, krępą postać, z której bije niesamowita siła. Jasnyniebieskie oczy, teraz już ponad trzydzieści lat od jego śmierci, błyszczą w głowie okolonej rzadkimi białymi włosami, trochę jak na tym słynnym wizerunku starego Arthura Schopenhauera – niezłomne, wielkie osobowości, o których mówimy, że już nie istnieją, ponieważ życie utraciło spartańską powściągliwość konieczną, by takie temperamenty mogły dojrzewać i się rozwijać. Słyszę go, jak woła, słyszę, jak w zaraźliwy sposób podnosi głos, słyszę tessiturę jego opowieści, lecz specyficznych słów ani zdań już nie ma. Są zapachy, które go otaczały, zapachy staroświeckiego malarza i coś nieokreślonego, jego



zapach, jego kiedyś cielesna obecność na świecie, daleko od chwili, w której to piszę. Kiedy odszedł w czasie jak postaci w starych mitach i opowieściach, ukonkretnił się w zupełnie inny sposób, a mianowicie poprzez intymną przeszłość. I kiedy szukam śladów jego życia, najczęściej zdany na siebie samego, ponieważ niemal wszystko zniknęło, nieraz się zastanawiam, czym jest to coś, co w tak ambiwalentny sposób łączy nas z dziadkami. Czy nieobecnością walki pokoleń, jaką prowadzimy z rodzicami? W przepaści zięjącej między nami a nimi znajduje się bój o naszą urojoną indywidualność, a odległość w czasie daje nam iluzję, jakoby tam kryła się większa prawda niż w tym, co wiemy od swoich rodziców. To wielka, potężna naiwność stanowiąca dla nas bodziec do tego, żeby chcieć wiedzieć.

*

O dziwo były też detale z mojego własnego świata, które dopiero po przeczytaniu jego wspomnień uwolniły swoje historyczne tajemnice: złoty zegarek kieszonkowy, który rozprysnął się na posadzce; potajemnie wypalony, owalny papieros ze srebrnego etui, po którym zrobiło mi się niedobrze, kiedy miałem piętnaście lat; stary brązowo-czerwony szal na jednej z szaf odstawionych do podupadłej altanki obrośniętej winoroślą, naznaczonej rzadkimi odchodami kosów, które do niej zabłądziły i w panice obijały się o szyby, dopóki znów nie wyfrunęły na osłep przez otwarte okno; pudełeczko ze srebrzystymi staroświeckimi przyborami do golenia, z którego wydobywał się przenikliwy zapach ałunu i staromodnego mydła; niewielki folder z Liverpoolu, który tak często był rozkładany i składany, że zgięcia się przedarły; metalowa puszka z jego odznakami honorowymi i orderami, którą odnalazłem dopiero wiele lat po jego śmierci; czyszczona przez niego co tydzień miedziana łuska ciężkiego pocisku artyleryjskiego – nazywał go *obus* – na filarze balustrady schodów, którą przez całe dzieciństwo brałem za rodzaj niezgrabnego wazonu na kwiaty.

Stopniowo czas odkrywał przede mną tajemnicę mojego dziadka – długie życie, którego największą część stanowiła zakończenie, epilog niemal średniowiecznego dzieciństwa, przepełnionego okropnościami życia młodego mężczyzny, odnalezionej po wojnie i utraconej wielkiej pasji, opowieść o jego niezłomnej pokorze, bolesnej wstrzemięźliwości, dziecięcej odwadze, wewnętrznych

walkach między pobożnością a pożądaniem, modlitwach odmawianych bez końca, na kolanach, kapelusz obok niego na kościelnym krześle, okolona bielą głowa pochylona przed niezliczonymi obrazami świętych i świecami płonącymi w mroku Domów Bożych – tajemnicę namiętnej pełni życia w świecie, po którego zewnętrznej stronie nie było widać niczego ekscytującego.

*

Błądząc ulicami rodzinnego miasta i widzę je zupełnie innymi oczami, niż kiedy wyjeżdżałem stąd ponad dziesięć lat temu. Jest chłodna wiosenna pogoda, takie chmury, jakie lubił malować. Stara fasada sklepu z rowarami, w którym kiedyś dostałem swój pierwszy, czerwony, nadal istnieje, ale litery się zatarły. Mieszkańskie domy stoją osierocone przy asfaltowej drodze, która ma już niewiele wspólnego z przyjemnym życiem, do jakiego zostały zaprojektowane i zbudowane ponad sto lat temu. Zaczyna mżyć, samochody wolnymi sznurami przesuwają się aleją Heirnislaan – gdzieś za nią musiał się znajdować pozbawiony światła zaułek, w którym spędził swoje pierwsze lata, między stacją przetokową a miejskim kanałem. Teraz aleja ta stanowi część miejskiej obwodnicy; wtedy była bulwarem z rzucającymi cień wysokimi drzewami, pod którymi „wielmożne panie z wyższej sfery”, jak je z szacunkiem nazywał, gruchając latem z okien swoich lekkich powozów, patrzyły na szarych jak popiół smarkaczy, którzy przychodzili się na nie pogapić w niedzielne popołudnie. Przekraczał tę Heirnislaan w mgliste zimowe

poranki w drewniakach, jak mały bohater z opowiadania Dickensa, taszcząc wiadro: chodził wyżebrywać węgiel u czarno lśniących mężczyzn, którzy ładowali tendry lokomotyw za „stacją kolei żelaznej” w Dampoort. Wróciwszy do domu, stawiał ciężkie wiadro za kozą w kuchni, a gdy matka przychodziła zmęczona po pracy u mieszczańskiej rodziny, z zadowoleniem stwierdzała, że tego wieczoru nie będzie im dokuczało zimno i zjedzą ciepły posiłek. On sam zaraz potem biegł do szkoły i dostawał burę za spóźnienie. Jego siostry śmiały się z niego, bo nie radził sobie z językami i matematyką. Gdzieś przy porośniętym motylimi krzewami i bzami nasypie linii kolejowej zasadził kiedyś ziarno kukurydzy, a wschodzącej roślinie przynosił codziennie wodę w pogiętej miseczce, dopóki nie zastał jej połamanej i wyrwanej – opisuje tę scenę, dodając, że „nasza rodzina powoli stawała się w uliczce coraz bardziej osamotniona”.

*

Mijam zbudowane bez polotu osiedla, tam gdzie kiedyś mieścił się gandawski Targ Zwierząt; wspomnienie tego miejsca noszę w sobie jako mocne doznanie zapachowe. Ten stary targ bydłocy był zadaszoną otwartą halą, z żelaznymi słupami w regularnych odstępach, przy których tupoczące byki z przekrwionymi oczami i śliną lecącą z pyska szarpały łańcuchy. Wodnista krew spływała w zdeptaną podściółkę pod stoły do krojenia, a bezkształtne, jasnoróżowe stosy, które tworzyły ułożone na sobie płuca, wydawały się jeszcze żyć w swojej śliskiej

materii. Wycięte serca leżały obok języków, głowy sprzedawano na kilogramy, a oczy patrzące z miedzianej szali kołyszącej się na *hunsel* – tak dziadek nazywał poręczny hak wagi rzymskiej, przekręcając słowo *unster* – były nieruchome, jakby się głęboko nad czymś zastanawiały, minąwszy granice wszechobecnej śmierci; śmierci, która znajdowała się bliżej życia niż wszystko, co ja, który nigdy nie doświadczyłem wojny, widziałem w swoim życiu. Zakładam, że musiał czasem mimowolnie i z odrazą myśleć o tym starym targu zwierzęcym – pamiętając masakry, których był świadkiem nad brzegami Izery – o wnętrznościach, które się wylewają na zewnątrz, dowodząc tym samym, że została przekroczona pewna granica, za którą życie miało być bezpieczne wobec chwyliwych szponów śmierci. Mieszanina paniki i opanowania, widoczna w oczach czekających na rzeź owiec, była przez ówczesnych sprzedawców niedbale i wesoło ignorowana. To były spokojne czasy w prowincjonalnym mieście około 1900 roku, wszystko miało swoje miejsce, nędzny żebrak, jakim był dziadek, kręcił się między stolikami i wiedział, że jeśli choć odrobinę smętnie będzie mu patrzyło z niebieskich dziecięcych oczu, w końcu coś mu rzuci: paręnaście deko krwawej kiszki, niestarannie oczyszczony z mięsa kawałek żeberka, na którym można było jeszcze ugotować zupę, odrobinę wołowiny na rosół. Kiedy później oglądał ze mną reprodukcje i doszedł do słynnego rozplatanego wołu Rembrandta, powiedział:

– To jest tak dobrze namalowane, że wyczuwa się odór Targu Zwierząt.



Ta proza błyszczy jak diament wygrzebany spod hałdy popiołu.
Jest cennym klejnotem w skarbcu literatury światowej.

Janusz Majewski

Przed śmiercią dziadek Stefana Hertmansa powierzył mu swoje dzienniki. Wnuk obiecał, że je przeczyta, ale ponieważ od dziecka znał dramatyczne historie rodzinne, przez wiele lat bał się do nich zajrzeć. Gdy wreszcie to zrobił, nic już nie było takie samo... Życie dziadka Urbaina – spokojnego, cichego człowieka – okazało się fascynujące, porywające, pełne niezwykłych wydarzeń, a jednocześnie skromne i godne.

Hertmans z siłą właściwą największym pisarzom opowiada tak, że nie sposób oderwać się od lektury. Kreśli niesamowitą i wstrząsającą opowieść o odwadze, nadziei i sile potrzebnej do przetrwania. „Tak, dziadek miał talent literacki – przyznaje Hertmans. – Ta książka to jego historia; napisał wiele rzeczy, których nie byłbym w stanie wymyślić”. Oprócz wspaniałych, ale i tragicznych zdarzeń, poznajemy opowieść o skrywanej pasji: malarstwie i miłosnych sekretach ukrytych w obrazach, które na pierwszy rzut oka wydają się jedynie kopiami.

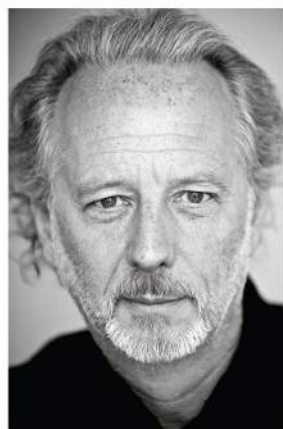
Przede wszystkim jednak to niezwykle piękna i sugestywna opowieść o miłości: cicha, przejmująca pieśń o uczuciu do kobiety i o tym, co los może przynieść każdemu z nas w czasie i okolicznościach, na które nie mamy wpływu.

Stefan Hertmans

(1951) jest jednym z najbardziej uznanych pisarzy niderlandzkiego obszaru kulturowego. Napisał kilkanaście powieści, zbiorów opowiadań, esejów i wierszy cenionych przez krytykę i czytelników.

Wojna i terpentyna została nominowana do kilku międzynarodowych nagród literackich i nagrodzona m.in. Vlaamse Cultuurprijs voor de Letteren oraz prestiżową AKO Literatuurprijs.

Ukazała się w 16 krajach.



www.marginesy.com.pl



9 788364 700934

cena 39,90 zł

PAŃSTWO WYDAWALNY



lubimyczytac.pl

BOOKLIPS.PL IIIII